

Pociąg przez pustynny kocioł część 1 — StalowyKruk

Od autora: Ten tekst jest tylko początkiem krótkiego opowiadania. W na pierwszy rzut oka nieskomplikowanym świecie egzystują jednostki o zbyt dużej fantazji i odchyłach psychicznych, by grzecznie siedzieć w domu. Opowiadanie skupia się na pasjonacie rewolwerów, kapeluszy o szerokich rondach i wojny secesyjnej, pracującym jako najemnik. Starałem się o luźną i lekko humorystyczną formę.

Życzę miłej lektury.

Joseph Edward Lee zapalił papierosa i odchylił się na krześle.

– Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę – powiedział. – Czy mógłby pan powtórzyć?

Alfred Smith rozważył ponownie swoją propozycję. Według niego zatrudnianie zdziwaczałych zabijaków było pozbawione sensu. Jednak to nie on decydował. Przyjrzał się ponownie swemu rozmówcy. Nie lubił takich. Typ był niemalże podręcznikowym przykładem człowieka, za bardzo lubiącego się w opowieściach o dzikim zachodzie. Miał na sobie skórzany płaszcz z mnóstwem srebrnych guzików i sprzączek, jeansy, a na nogach, o zgrozo, wysokie buty z ostrogami. Obrazu dopełniał kapelusz, chyba żywcem wyciągnięty z westernu. Na częściowo skrytej w cieniu twarzy widać było cienką, białą bliznę biegnącą przez brew, prawe oko i szczeciniasty zarost, aż do brody. Sama twarz była z tych pozbawionych wieku, ale Alfred uznał, że jego rozmówca nie może być więcej jak trzydziesto–trzydziestokilkulatkiem.

– Mój pracodawca – zaczął Smith, uśmiechając się sztucznie. – Chciałby wynająć pana do ochrony pociągu.

– Zmierzającego do? – uniósł lewą brew Joseph. Alfredowi przez głowę przemknęło, że połowa twarzy z blizną może być sparaliżowana. Poza tym imię... Joseph Edward Lee. Nikt nie mógłby przecież się tak naprawdę nazywać.

– Zmierzającego do Greygrass.

– To przecież po drugiej stronie pustynnego kotła... Zaraz, chwila. Mam ochraniać pociąg jadący przez pustynny kocioł?

Smith skulił się wewnątrz.

– Nie będzie pan jedynym wynajętym do tego zadania – powiedział zachowując pozory pewności siebie.

– Mam nadzieję, bo oferta wydaje się kusząca.

Smith postanowił zagrać jeszcze jedną kartę.

– Przewidziane są premie.

Joseph Lee popatrzył na niego, po czym machnął ręką.

– Pokaż tę umowę – mruknął.

Gdy otrzymał dokument, przeczytał go dokładnie, przez cały czas zachowując kamienną twarz. W końcu

podpisał. Alfred odetchnął z ulgą.

– Będzie pan oczekiwany w wyznaczony dzień, panie Joseph. Proszę się nie spóźnić – mówił wkładając umowę do eleganckiej teczki.

– Nie mam zamiaru – odparł ten. – I możesz mówić mi Joe.

Smith zastanowił się czy powiedzieć coś jeszcze, ale uznał, że gra nie jest warta świeczki. W końcu ten cały Joe wyglądał na takiego, co lubi mieć ostatnie słowo.

Na miejscu Joe miał się stawić o siódmej. Piechotą dotarłby w jakieś dwadzieścia minut. Wstał kilkanaście minut po piątej. Wynajmowana izba posiadała prowizoryczny kran, z którego leciała wyłącznie zimna woda, ale cóż zrobić. Nie ma co przyzwyczajać się do luksusów. Umył się, przyciął nożyczkami krótko brodę, założył kolejno gacie, jeansy, czarną koszulę, skarpetki w kolorowy wzorek i płaszcz. Chwilę siłował się z butami. Z braku stołu rozłożył rewolwery na łóżku. Wyczyścił je, sprawdził działanie mechanizmów i załadował. Dwanaście srebrnych kul. Po sześć na rewolwer. Przesunął kurki do bezpiecznych pozycji, zakręcił rewolwerami na próbę i umieścił je w kaburach. Solidny nóż traperski przyczepił do pasa. Mniejsze ostrze ukrył w bucie. Przez plecy przewiesił piękną, angielską dubeltówkę, zdobytą ongiś w pewnym pojedynku. Wyjrzał przez okno. Jak przyłożył czoło do szyby i obrócił głowę, był w stanie dostrzec zegar umieszczony przed wejściem jakiegoś budynku. Czy to kościoła, czy urzędu, nie obchodziło go to. Zresztą i tak nie widział pod tym kątem. Pięć po szóstej. Nakręcił kieszonkowy zegarek, nienakręcany już chyba czwarty dzień. I tak nie mógł pełnić funkcji budzika. W takich chwilach praktyczna okazywała się umiejętność wstawania o (mniej więcej) konkretnej godzinie. Wziął w ręce swój czarny kapelusz. Przyjrzał mu się krytycznie, strzepnął z niego niewidzialny pyłek i nasadził go na głowę. Nie mając lustra nie mógł obejrzeć całokształtu, ale miał nadzieję, że prezentuje się profesjonalnie.

Zamknął drzwi i zszedł do gospody, gdzie zdał klucz i zamówił jajecznicę na śniadanie. Jadał lepsze, ale ta nie była zła. No i ważne, że było go stać. Ta robota z pociągami była niemal wybawieniem. Zwłaszcza, że srebrne kule swoje kosztowały, a w broni nieautomatycznej nie opłacało się używać innych. Zapłacił i wyszedł na ulicę, mając dobre kilka minut zapasu. Powietrze było suche i pełne pyłu, ale do tego zdążył się przez kilka dni przyzwyczaić.

Na miejsce dotarł niemal pięć minut przed siódmą. Miał się stawić przed magazynem opodal stacji. Gdy dotarł na miejsce było tam już kilka osób.

– No proszę, mamy tu kowboja – zaszydził koleś ubrany w panterkę i dzierzący bliżej nieznany Joemu karabin maszynowy, prawdopodobnie jakąś przeróbkę, od którego ciągnęła się taśma amunicji. Jej drugi koniec zniknął w plecaku jegomościa.

– Ja widzę chłopczyka bawiącego się w żołnierza – sparował Joe.

Żołnierzyk zrobił się czerwony z wściekłości, a stojący obok siwy starzec w kamizelce kuloodpornej zarechotał.

– Ale cię dojechał Ernie – powiedział, po czym zwrócił się do nowo przybyłego. – Witaj kowboju. Wołają mnie Tesla, a ciebie?

– Możesz nazywać mnie Joe.

– Ten militarny to Ernie – kontynuował staruszek. – Obaj byliśmy wcześniej, więc zdążyliśmy się zapoznać. Ta tam – wskazał stojącą na uboczu dziewczynę. – To snajperka. W sensie kobieta-snajper. Snajperkę, przepraszam, karabin wyborowy ma na plecach. Nawiasem mówiąc to chyba SWD, ale nie jestem pewien.

Tesla wydawał się wyjątkowo energiczny jak na starca.

– Ktoś jeszcze się pojawi? – zapytał Joe.

– Pewnie tak, co za pojeb wynająłby tylko czwórkę do ochrony pociągu? – Ernie najwyraźniej stwierdził, że już wystarczająco ukarał wszystkich swoim milczeniem.

W tym właśnie momencie do grupki oczekujących dołączył obwieszony nożami osobnik w średnim wieku, z dwoma maczetami na plecach. Ogolony zupełnie na łyso z ogromnymi czarnymi wąsami. Szeroki w barach niczym przysłowiowa gdańska szafa, przysłonił poranne słońce trzem najemnikom stojącym przed magazynem.

– Zbigniew Terror – przedstawił się wyciągając rękę. Tesla powtórzył swój monolog, tym razem włączając jeszcze Joego.

Terror oparł się o ścianę, obok Erniego, kończąc tym lokalne zaćmienie.

Chwilę później pojawił się pan Smith, z nieodłączną teczką i wysokim, ubranym w surdut jegomościem.

– Witajcie – przywitał się wysoki. – Nazywam się John Divitae, jestem tylko skromnym przedsiębiorcą. Rozumiem, że państwo w sprawie ochrony pociągu? Zapraszam tędy – wskazał kierunek mahoniową łaską, ze srebrną gałką.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

StalowyKruk, dodano 22.02.2018 21:05

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.